

№ 27. Rok XVIII.

Dnia 20 Czerwca (2 Lipca) 1898 r.



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Widok z Tatr.

Wł. Umiński.

POGADANKI NAUKOWE.

II.

P o w i e t r z e.

Badając ogień i zastanawiając się nad robionemi z nim doświadczeniami, doszliśmy do powietrza, które musimy teraz poznać bliżej.

Powietrze otacza nas ze wszystkich stron, przenika nawet przy oddychaniu do naszych płuc; nie widzimy go jednak, bo nie posiada żadnej barwy i jest przezroczyste; nie ma ono przytem woni, o obecności jego możemy wszakże dowiedzieć się, biegnąc, lub machając ręką. Wiatr jest też prądem powietrza, przenoszącym się z miejsca na miejsce.

Wiemy, że powietrze jest niezbędne dla palenia się ognia; powstrzymując oddech, doznajemy duszności dla braku powietrza; koniecznym więc jest ono dla życia ludzi i zwierząt.

Niewidzialny ten gaz oblewa, niby wielkie morze, powierzchnię ziemi i sięga na kilka mil ponad najwyższe góry.

Co to jest to powietrze? Ani wzrokiem, ani powonieniem, ani smakiem nic się o niem nie dowiemy. Doświadczenia nasze z ogniem nauczyły nas już, że w powietrzu znajduje się gaz, łączący się chemicznie z węglem i wodorem.

Gaz ten wartoby było oddzielić z powietrza w jakibądź sposób i zbadać lepiej jego własności.

Jakże wziąć się do tego?

Oto trzeba znaleźć ciało, zdolne pochłonąć tlen z powietrza, a następnie oddać go napowrót.

Takiem ciałem jest rtęć, nazywana też żywym srebrem.

Jeżeli będziemy ogrzewali w płaskiej glinianej miseczce przez kilka dni ten płynny metal, to połączy się on chemicznie z tlenem powietrza; przyczem na jego powierzchni zbierze się cieniutka warstewka czerwonego, ceglatego proszku, nazywanego tlenkiem rtęci. Proszek ten, ogrzewany mocno, oswabada się jako tlen czysty. My jednak otrzymany tlen daleko prędzej i łatwiej innym sposobem.

Doświadczenie. W butelkę z cienkiego szkła (najlepiej epruwetkę) wsypujemy sól Bertoleta w proszku i ogrzewamy na lampie spirytusowej. Sól ta niebawem stopi się i wydzieli z siebie tlen.

Teraz mamy pożądaną gaz i możemy rozpoznawać jego własności.

Doświadczenie. Przyczepiamy na końcu drucika kawałeczek drzewnego węgla, rozżarzamy go i wpuszczamy do butelki z tlenem. Węgiel natychmiast rozpala się do jasnej białości i spala prędko, zostawiając trochę popiołu.

Jeżeli zbadamy gaz w butelce po dokonaniu tego doświadczenia, to przekonamy się, iż tlen zamienił się na kwas węglany. Widzimy więc, że węgiel, żarząc się, łączy się chemicznie z tlenem, zawartym w powietrzu i daje kwas węglany.

Doświadczenie. Umoczymy koniec żelaznego drutu w roztopionej siarce, zapalmy ją i wsadzmy do butelki, napełnionej świeżym tlenem. Zobaczymy wtedy, iż siarka znacznie gorąc oslepiająco jasnym fioletowym płomieniem; ogień niebawem przeniesie się na żelazny drucik, który z kolei sam się zajmie i spłonie, rozsiewając błyszczące iskry. Jeżeli poprzednio wleliśmy na dno butelki trochę wody, to odnajdziemy w niej potem drobne kuleczki, które nie są niczem innym, jak połączeniem żelaza z tlenem. Połączenie to odbywa się w powietrzu powoli; wtedy mówimy, iż żelazo rdzewieje.

Tak samo możemy spalić w tlenie miedź, cynk i inne metale. To, co otrzymamy po spalaniu, będzie zawsze wa-

żyło więcej, aniżeli spalony metal. Łatwo zrozumieć, dlaczego. Oto, do metalu przyłączył się, przybył tlen, który także posiada swój ciężar.

Poznawszy przyczynę pojawiania się rdzy, łatwo teraz potrafimy uchronić od niej nasze narzędzia rolnicze, naczynia, rury i inne żelazne przedmioty. W tym celu dość jest pokryć je lakierem, lub jakąkolwiek farbą, któraby zabezpieczała je od zetknięcia z powietrzem.

Rdza pokrywa żelazo daleko prędzej w wilgoci; stąd też należy żelazne przedmioty, niezabezpieczone żadną ochronną farbą, trzymać w suchem miejscu, lub pociągnąć z wierzchu tłuszczem. Cyna nie zmienia się na powietrzu, to też używają jej do powlekania, czyli, jak mówią, do bielenia żelaznej blachy, służącej do wyrabiania naczyń.

Co się znajduje w powietrzu oprócz tlenu?

Zanurzając w butelce napełnionej samym tlenem rozżarzony węgiel lub palącą się siarkę, dostrzegliśmy, iż ciała te gorą w nim znacznie jaśniej i szybciej, aniżeli w zwyczajnem powietrzu. To może nas naprowadzić na myśl, iż powietrze, oprócz tlenu, zawiera jeszcze inny jakiś gaz, który przeszkadza paleniu się.

Czy tak jest, przekonamy się za pomocą doświadczenia.

Doświadczenie. Zauważyliście pewno, iż zwyczajne groszowe zapalki mają łebki pokryte czerną brzoźwem, świecącym w ciemności.

Jest to fosfor; ciało nadzwyczaj łatwo zapalające się w ciepłe, lub nawet za potarcia; inaczej mówiąc, łączy się ono z tlenem powietrza tak chciwie, iż przy tem pojawia się ogień.

Otóż weźmy kilkadziesiąt takich fosforowych zapalek i poobcinajmy im ostrożnie łebki, położmy takowe na małej pokrywce od blaszanego pudełka i puśćmy ją na talerz, napełniony wodą, tak, żeby pływała.

Teraz postarajmy się o białą butelkę bez dna, zatkajmy mocno korkiem szyjkę, zapalmy następnie fosfor na miseczce i przykryjmy go natychmiast przygotowaną butelką. Łebki będą płonęły przez chwilę i zgasną; wnętrze butelki napełni się białym dymem, który jest związkiem chemicznym fosforu z tlenem powietrza. Zaraz zauważymy, iż na miejsce tlenu, zużytego przy paleniu się fosforu, weszła do butelki część wody z talerza. Ponieważ nie zajęła ona całej butelki, przeto w takowej musiał jeszcze pozostać jakiś gaz, w którym reszta fosforu nie mogła się już spalić.

Poczekajmy, aż woda pochłonie białe dymy i zabierzmy się do zbadania gazu, znajdującego się teraz w butelce.

Odetkawszy ostrożnie korek, zapuszczamy do flaszki na druciku zapalony stoczek; gaśnie on natychmiast. Gaz, znajdujący się w butelce, nie jest jednak kwasem węglanym, gdyż woda wapienna nie męci się w nim; niema on, podobnie jak powietrze, żadnej woni ani barwy.

Gaz ten nazywa się *azotem*.

Powietrze zatem jest mieszaniną dwóch odmiennych gazów:

- 1) *tlenu*, który podtrzymuje palenie się świecy, węgla i metali, oraz służy do oddychania;
- 2) *azotu*, w którym ogień gaśnie, a zwierzęta i ludzie nie mogą oddychać.

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dalszy ciąg).

Wyznał więc Franusiowi, że nie może znosić bicia, na które nie zasłużył, i że musi iść szukać chleba gdzieindziej. Na te słowa Franuś przyciągnął go ku sobie, objął jego szyję

swemi chudemi rękami i przycisnął do jego twarzy swoją biedną, wymizerowaną twarz zalaną łzami.

— Nie odchodź odemnie — błagał żalonym głosem — ja tu jestem taki nieszczęśliwy! Mama mię kocha i tatuś mię kocha i ja ich kocham oboje, ale wiem, że im jestem ciężarem! Mało co robić mogę i jakoś szewstwo idzie mi niezręcznie, a dla mnie umyślnie rodzice muszą uleko kupować i lepsze jadlo... nie dziwnego, że mi to mama wypomina! Już ci jestem niedołągą do niczego, i lepiejby było, żeby mię Pan Bóg zabrał. Ale póki się nademną nie zmiłuje, to ty mię nie odchodź! Już ja cię przepaszam za wszystko co złego doznajesz, już ja cię bardzo przepaszam!

I biedny Franuś poniósł nagle rękę Józika do ust, złożył na niej pocałunek i zmoczył ją łzami, które obficie wylewał.

— Kiedy widzisz — bronił się jeszcze Józik, któremu serce miękło — kiedy widzisz, człowiek to nie pies... człowiek to człowiek... nie powinien znosić upokorzenia, gdy na nie nie zasłużył... to trzeba mieć swoją dumę... pani Warbicka mówiła: „Jakes zasłużył, to cierp, a jakes niewinny, to się broń!” Ja się bronić nie mogę, ale mogę stąd odejść..

— A Chrystus? — szepnął łkając Franuś.

Na to imię naszego Zbawiciela, które Franuś wymówił, Józik zadrżał, zmieszał się a potem zamyślił.

— Byłem podłym samolubem — ozwał się po chwili. — Przez złość za marne uderzenie, które mi przecie kości nie połamało chciałem opuścić ciebie, któremu mogę choć trochę być pomocą i pociechą...

— Zostaniesz? — krzyknął Franuś tak głośno, że aż się majster obudził.

— Zostanę! — szepnął Józik i cichutko, żeby gniewu pana Dratwińskiego nie wywołać, przemykać się począł ku swemu posłaniu.

Ale gniew pana Dratwińskiego już był obudzony.

— Co tam za gadanie — krzyknął — co za konszachty, co tam za spiski!

I nagle pociągnął zapalną o szorstką powłokę pudełka. Przy jej blasku ujrzał siedzącego na łóżku, zapłakanego Franusia i Józika bosego, który pociemku nie trafił do swego posłania, a wyciągniętymi przed siebie rękami macał po drzwiach wchodowych.

Majster zapalił knotek lampki i zerwał się z posłania. Stał nad łóżkiem Franusia, wołając:

— Co on ci zrobił ten przybłęda, to paniątko co nogi myje, a po nocy dzieci chore krzywdzi! Co on ci zrobił?

— Nic mi nie zrobił!

— Przyznaj się do wszystkiego, bo was obu zbije na kwaśne jabłko! Powiedz prawdę, bo ja się na wykrętach zaraz poznam!

— Bo, bo — zaczął łkając Franuś — bo mnie bardzo noga bolała... i zacząłem jęczeć a on przyszedł... i pocieszał mię... i opowiedział mi taką śliczną historię...

— I tego płaczesz? Nie kłam bo ci kości połamię!

— Nie kłamie, tatusiu! Opowiedział mi śliczną historię.. a potem... potem powiedział...

Chłopiec przełkniętymi oczami patrzył na ojca.

— Mów prawdę, bo!...

— Powiedział, że człowiek to nie pies...

— I co dalej?

— Że człowiek, to człowiek...

Majster groźnie przystąpił do łóżka Franusia. Chłopiec przerażony mówił dalej:

— Powiedział, że tatuś niesprawiedliwie... ma czerwona pręgę na plecach... więc powiedział, że jutro, że jutro zabierze psa i pójdzie gdzie go oczy poniosą...

— Pokażę ja mu! — krzyknął majster, aż szyby zadrżały i gospodyni się obudziła z przestachem, najmłodsze zaś dziecko płakać zaczęło.

Franuś mówił dalej przerywanym głosem:

— Więc powiedział, że pójdzie... ale ja go zacząłem prosić... bo ja go lubię i on mię lubi... więc on już potem

przrzekł, że zostanie... Powiedział, że mu przecie tatuś kości nie połamał, to nie nie szkodzi, że go trochę plecy bolą...

— Ośły! — huknął majster — na miejsce mi obadwaj, i spać! Ludzi budzicie po nocy! A ty, paniątko, ani mi się waż uciekać, bo ja cię w mysiej dziurze znajdę, ja cię z pod ziemi wykopię, ja cię z dna morskiego wyciągnę!

Majster się położył i wkrótce chrapać zaczął, a chłopcy przytulili się, każdy do swej poduszki i oprócz Franusia, którego noga ciągle bolała, wszyscy w izbie zasnęli.

Od tej pory Franuś z Józikiem jeszcze bardziej się lubili. W niedzielę, całymi godzinami Józik czytywał przyjacielowi Gazetę Święteczną, którą sobie pożyczali od sąsiadki; począł też uczyć Franusia pisać na tablicy kredą. W dzień powszedni nie było ani na naukę, ani na czytanie czasu.

Józik uczył się pilnie szewstwa w warsztacie, a że był pojętny do wszystkiego, więc wkrótce umiał już i trzewik porządnie załatać i przy nowych ciżmach zszywał połówki. Najlepiej lubił odnosić obstalowane obuwie. Młode nogi jego potrzebowały ruchu, biegł też nieraz zwawo z parą dużych ciżmów w rękę, lub dawał je do niesienia Bosemu, który zabawnie wyglądał z butami w pysku.

Bosy sprawiał się doskonale. Był wśród rodziny państwa Dratwińskich tak cichy, tak pokorny, tak usłużny, że dzieci bardzo go polubiły a i majstrowa uniała to ocenić, że nie nie jadł w jej domu, i dzieci zabawiał, a nie wiedziała, że oprócz tego, przechodził on sam siebie swą powściągliwością. Lubiła ona koty i często mawiała, że kot to dopiero przyjemne zwierzę. Łasi się, mruczy tak ładnie, jakby pacierz mówił, a przytem sam się żywi, łapiąc myszy po strychach i piwnicach, tak, że dla niego wcale gotować nie potrzeba. Miała też majstrowa śliczną kotkę, Bosy miewał na nią chrapkę ogromną, ale się wstrzymywał. Patrzyli tylko czasem na siebie jak dwaj zapaśnicy, aż iskry im się z oczu sypały. Kizia wydymała grzbiet, jeżyła wąsy; Bosy kiwał ogonem z niecierpliwej żądzy napaadnięcia na wroga, nastawiał uszy, szczyrzył zęby i czasem rzuciwszy się naprzód oberwał od Kizi drapieżny policzek, przyczem parsknęła mu w oczy, czego Bosy nie lubił, a nawet, mówiąc prawdę, bał się trochę, choć miał bohaterskie serce.

Takie drobne utarczki bawiły dzieci niezmiernie, radowały majstrową, która kotkę swoją zachęcała do oporu i wszystko szło jakoś dobrze.

Aż raz kotka wróciła z dziedzińca z poturbowaną szerścią, z uchem rozdrapanem, bardzo zmęczona i jakby szukająca bezpiecznego schronienia. Czyniono różne, co do tej wycieczki domysły; Franuś utrzymywał, że Kizia musiała się dostać do gniazda szczurów; Marynka, młodsza siostra mówiła, że Kizie pewno chciał złapać czyszciciel dla pięknego futra, lecz choć poturbowana, zdołała z furgonu wydostać się; majstrowa była pewna, że to ten łobuz Antek, syn stróża przywiązał jej pęcherz z grochem, a biedna kotka uciekając z przerażenia, postradała część futra i poniosła ranę w ucho. Tylko Józik nic nie mówił ale miał silne podejrzenie a nawet przekonanie, że to była sprawka Bosego, i że jego zęby...

Ale Józik nic nie mówił, bo przecie nie miał żadnych dowodów, a bez dowodów nikogo oskarżać nie należy. Można się czasem, oskarżając tak na wiatr, bardzo pomylić i gorzko potem tego żałować.

Otóż, nie było Józikowi teraz dobrze u państwa Dratwińskich, ale nie było też i tak bardzo źle. Majstrowa nawet raz powiedziała, że trudno o tak porządnego, jak Józik chłopca, „bo to i mało je, posłuchliwy i cichy i pracowity.” Tylko, że Józikowi nic nie płacili, a on się dobrze napracował zawsze przez cały dzień, kupili mu jedną tylko koszulę i buty pozwolili sobie uszyć. Uszył je porządnie i sam z tego był bardzo kontent. Przytem myślał:

— Jakiby to mój biedny tatuś był zadowolony, gdyby był doczekał tego, że ja już buty umiem uszyć. I to buty wcale porządne! Nie nosiłby ich wprawdzie pan Aligant, co to musiał mieć wszystko takie śliczne. Ale dla mnie i takie doskonałe! Ale co toż to teraz robią moi panowie z ulicy Wilczej?

Gdy Józik odnosił robotę, a czasem odnosił ją z Pragi aż do Warszawy, lub był przez majstra posłany z jakim interesem, zawsze sobie obiecywał, że którego z młodych lekarzy, którym dawniej usługiwał, spotka na ulicy. Czasem spostrzegłszy z daleka jakiegoś przechodnia, biegł za nim prędko, bo mu się zdawało, że to Wesołowski lub Aligant. Serce

wiedziano, że w Warszawie nie mieszkali. Raz tylko ujrzał Płakę, jadącego dorożką ze smutnie zwieszoną głową. Krzyczał i biegł za dorożką co sił, ale go stójkowy za kołnierz schwycił, mówiąc spokojnie:

— Nie można tak ulicą między powozami biegać. Idź na trotuar.



Obleżenie Częstochowy przez Szwedów. (strona lewa obrazu).

biło mu z radości, ale gdy się zrównał z przechodniem, przekonywał się, że to ktoś nieznany, który patrzył na niego ze zdziwieniem. Wesołowski aż się śnił Józikowi. Żeby tak tego przyjaciela zobaczyć, toby już Józikowi niczego nie brakowało! Ale nigdzie żadnego z młodych lekarzy nie spotkał. Zebrawszy sobie kilka groszy z małych datków, otrzymanych za odniesienie roboty, szukał za te pieniądze nazwisk upragnionych przyjaciół w biurze adresowem, ale mu odpo-

Józik znowu poszedł do biura adresowego, ale Płaksy nie było w Warszawie, widocznie gościł w niej tylko przejazdem.

— Czy ja już ich nigdy w życiu nie zobaczę? — myślał smutnie Józik.

Był już trzy miesiące u państwa Dratwińskich i nie myślał o opuszczeniu ich, szczególnie dla tego, że z Franuśiem kochali się jak bracia, gdy z powodu Bosego nastąpiło

nagle rozstanie. W oczach majstrowej pies rzucił się w dzielnicy na uciekającą Kizię i poturbował ją tak że musiano ją zlewać zimną wodą, by do siebie przyszła. Od czasu zranionego ucha i poszarpanej szerści, utraciła do Bosego dawną swą śmiałość. Zamiast stawiać mu się hardo, jak dawniej, zamiast rzucać iskry spojrzeniem, jeżyć wasy i parskać ukazując białe kły, uciekała tchórzliwie, a wtedy też Bosy tracił panowanie nad sobą, było to już nad jego siły. Rzucał się za Kizią, której zwykle ucieczka się udawała, ale w końcu byłaby może tchórzostwo swoje życiem przypłaciła, gdyby nie majstrowa, która jej na ratunek w porę przybiegła.

(d. c. n.)

Obleżenie Częstochowy przez Szwedów.

Obrona Częstochowy przed Szwedami, co zajmawszy w połowie XVII wieku cały niemal kraj, nie zdołali zdobyć klasztoru Częstochowskiego, w którego murach znajduje się cudowny wizerunek Matki Boskiej — znaną jest wszystkim.



Obleżenie Częstochowy przez Szwedów. (strona prawa obrazu).

Obraz p. Ryszkiewicza przedstawia właśnie jeden ze szturmów generała szwedzkiego Millera, w czasie tego obleżenia. Rozpoczęło się ono w końcu listopada 1655 roku i trwało sześć tygodni, to też śnieg, jak widzimy pokrywa ziemię. Garstka załogi pod przewodnictwem miecznika Zamoyskiego wraca do twierdzy, ze szczęśliwej wycieczki, pod okiem przeora Kordeckiego, patrzącego z baszty warownej. Część Szwedów goni za nią, część ustawia armaty i moździerze. Po

lewej stronie obrazu stoi generał Miller ze swym sztabem, na przodzie zaś widać starą żebraczkę, Kostuchę, która zbierała kule i podrzucała pod mury klasztoru do powtórnego użytku.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

Miesiąc już wypłynął wysoko i srebrne pasma rozcielał na murawie.

Woń wiosennych kwiatów unosiła się w powietrzu, lekkie wietrzyki szeleściły w łożu rosnącej nad potokiem, kędy już słowik odzywał się nieśmiało. Las kołysał się poważnie i odziany w białe tumany szeptał coś tajemniczo.

Spokój wiosennego wieczoru rozlewał się w około — wszystko było łagodne, ciche, niby rozmarzone — gdy nagle jakaś wrzawa rozległa się w oddali; rosła, wzmagala się z każdą chwilą, wreszcie napełniła całą oklicę.

— Coś się stało! zawołali obecni, zrywając się, coś się stało! Matki poczęły z trwogą zwoływać dzieci, nawoływania ich rozlegały się szeroko ponad wodą i w zaroślach leśnych.

Człowiek zdyszany nadbiegł, krzyząc: — Ludzie, ludzie nie wiecie co się dzieje? — Obalono krzyż stojący nad drogą na rozstaju, tuż koło bram grodu!

— Kto, kto go obalił? pytano skupiając się dookoła nowo przybyłego.

— Nikt jeszcze nie wie, ale chwytają ich tam. Ani chybi poganie z puszczy to zrobili; któżby inny?

— Tak ani chybi, to oni, potwierdzili zgromadzeni, żegnając się pobożnie. — Pewnie owi myśliwi, którzy tu się kręcili wśród tłumu.

— Powiadają, że pojmano jakiegoś dziada gęslarza, ale się z rąk wymknął, — ozwał się drugi, przybywający z miejsca wypadku.

Królewscy pachołkowie ścigają zbójów.

Wszyscy zaczęli dążyć w stronę miasta, zdjęci ciekawością. Czem bliżej grodu, tem bardziej tłumy się zwiększały, cisnąc się, by ujrzeć co się dzieje.

— Król srodze ukarze sprawców owego bezprawia, ozwał się ktoś w tłumie.

— Jeśli ich tylko pojماją? mruknął drugi.

— Pojmali! Pojmali! — rozległ się krzyk niedaleko.

Kilkunastu pachołków królewskich na koniach, zbrojni w miecze i łuki, zbliżało się wiodąc w pośrodku człowieka, odzianego, jak zwykle siedlacy, w szarą switkę i lipowe chodaki.

Twarz jego łagodna, była w tej chwili wielce zalekniona, i jakby sam nie wiedział co się z nim dzieje, rzucał dookoła wzrok trwożny i niespokojny.

— Patrzcie go! Poganin przeklęty! wołano zewsząd — jaki teraz z niego baranek! Do grodu z nim, powiesić!

— Utopić! krzyczeli inni.

Niektórzy nawet rzucili się, chcąc go wyrwać z rąk straży, by spełnić ową groźbę, ale pachołcy rozpędzili ich płazem miecza.

Wieczór już był zupełny, gdy tłumy stanęły u bram grodu.

Kielce były wówczas niewielkiem miastem

wem głębokim, napełnionym wodą, ponad tem wznosił się wał z ostrokołem.

Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt drewnianych budowli krytych słomą, kędy mieszkali rzemieślnicy i handlarze, oraz ludzie należący do dworu króla Chrobrego. — W środku był wielki plac służący za miejsce zgromadzenia oraz za salę sądową niekiedy. W dnie targowe napełniał się on przekupniami i handlarzami z różnych stron przybyłymi. Na jednym końcu wznosił się dwór królewski, zbudowany z modrzewia, stał na podmurowaniu kamiennem w środku obszernego podwórca otoczonego ostrokołem.

W oknach jego płonęły już światła.

Kiedy pacholki owi wiodący winowajcę znaleźli się na placu, naprzeciw nich wyjechał mąż jakiś, na koniu, ubrany bogato, widocznie z dworu królewskiego i zawołał na zbliżających się:

— Odprowadzić go do ciemnicy! Jutro król sam rozsądzi sprawę.

Pacholcy natychmiast skręcili w boczną uliczkę, a tłum zwolna rozpraszać się począł, z zamiarem jednak zgromadzenia się tu na jutro, by ujrzeć sądy królewskie.

— Strach co to jutro będzie — mówiono w tłumie — nie długo nosić głowę na karku temu poganinowi.

— O król go pewnie nie pożałuje! Będzie miał za swoje! Nasz król wielce srogi na podobne świętokradztwo. (Czy pamiętacie jak ukarał tego, co nie zdjął czapki przed Najświętszym Sakramentem?)

— A kto by tego nie pamiętał? — Oj, niech nas Bóg obroni od jego gniewu; — wołałbym, ot, choćby zaraz utopił się w Wiśle, niż się na niego narazić.

— I ja to samo.

— Ale to dziw, że tylko jednego pojмали — musiało przecie być ich tam więcej.

— Co za dziw? Uszli w las, jak ten dziad ladaco. — Oni sobie pomagają wzajemnie.

— Mówią — dodał inny, zbliżywszy się i głos zniżając tajemniczo — mówią, że w puszczy jest ich, jak mrowiu, a władzę nad nimi trzyma jakowyś książę, czy wojewoda starszy, który gdy spojrzy, to drzewa schną pod jego wzrokiem.

Nad nimi sam dyabeł władzę dźierży, bo na Łysej górze ukazują się teraz co nocy jakieś krwawe ognie, jakby tam szatany zbierały się na harce piekielne. Onegdaj, powiadam wam, mój chłopak omal nie umarł ze strachu. Wstał w nocy, by zapędzić krowę, która wyszła z obórki, w tem patrzy a szczyt góry, niby cały w ogniu: obejrzał się a tu już i znikło wszystko. — Oczy sobie przecierał, nie wierząc, czyli śni, czy widzi na jawie.

— Nie pierwszy to raz ludzie widywali to przed waszym chłopcem; i to właśnie nie wróży nic dobrego, pewnie jakaś bieda będzie na świecie — może powróci panowanie onych piekielnych bogów pogańskich, których król Mieszko powyrzuczał ze świątyni.

— Nie mówcie tego, abyście nie wywołali licha. — Niech szczęście, niech przepada na cztery wiatry! — przerwał towarzysz mówiącego, żegnając się przy tem trwożliwie.

— Gdyby świst — Poświst powrócił, mściłby się strasznie na nas, żeśmy go odstąpili

— Cicho tam obaj! bo jakby was księga posłyszeli mielibyście się z pyszna, zawołał trzeci. — Nie boję się powrotu starych bogów, bo nasz wielki Bóg silniejszy, każe sobie budować piękne murowane świątynie, kiedy tamci przestawali na nędznych, drewnianych kłitkach, gdzie im pewnie nieraz woda ciekła na głowę, każe sobie wciąż śpiewać i bić we dzwony; jest daleko bogatszym od tamtych. — Czemuż zresztą tamci, kiedy tacy mądrzy i silni, nie bronili się, gdy ich wyrzucano?

— Nie, nie boję się ja powrotu starych bogów, oni na to głupi!

† zawrokowawszy poszedł dalej.

wiających coraz bardziej się oddalały w wreszcie całkiem. Rozchodzili się

Miesiąc tymczasem w kształcie wielkiej, czerwonej kuli zapadał za lasy, dalekie wycia wilków zdawały się go żegnać przy odejściu, z głębi boru raz po raz rozlegał się krzyk pułhacza.

Dziewczyna — wodnica szła przed siebie, w stronę zapa-
dającego miesiąca, szaty jej długo białeły w nocnych cieniach i długo jeszcze, gdy znikła, słyhać było śpiew jej na wpół smętny, na wpół dziki.

II.

Nastał wreszcie ranek, słoneczny, ciepły, pełen szczerbionu ptactwa. Na targowym placu, w grodzie, zgromadziły się tłumy ludzi, ciekawe jak król osądzi świętokradzcę.

Podwórzec przed królewskim dworcem roił się od dworzan i służby, przygotowującej wszystko przed ukazaniem się pana.

Nagle uwaga ludu odwróciła się w inną stronę. Z bocznej uliczki ukazali się pacholki, wiodąc owego człowieka, wczoraj pojmanego. Był osłupiały i wylekły, jak wczoraj, od czasu do czasu zaś uśmiechał się z miną ogłupiałą. Tłum zaczepiał go drwinami i żarcikami, lecz on nie odpowiadał na nie. Wtrącono go wreszcie w podwórze, brama się otwarła, a pacholki stanęły przy niej na straży, nie wpuszczając nikogo do wnętrza. Lud cisnął się ciekawie, by dojrzyć coś przez ostrokół przynajmniej. Przed dworem był rodzaj przedsionka, wspartego na czterech słupach, tam zgromadził się cały orszak królewski który był teraz postawiony na stopie niezwyklej okazałości, gdyż król Chrobry przyjmował posłów szwagra swego, Swenona, króla Danii.

Powróciwszy niedawno ze zwycięskiej wojny z cesarzem Henrykiem, król objeżdżał swoim zwyczajem kraj cały, czujnym okiem śledząc wszystko co się tyczyło pomyślności jego. Choć to nie był dzień oznaczony na sądy, Bolesław ilekroć ukazywał się ludowi, lubił by się to odbywało z pewną okazałością, starając się tem oddziaływać na barbarzyńskie jeszcze umysły. I teraz więc przedsiunek cały obwieszony był i wysłany makatami i czerwonym sukniem; na wzniesieniu przygotowano miejsce dla króla, a dokoła ławy dla jego orszaku.

Właśnie, gdy przyprowadzono więźnia, dwór znajdował się już tam zgromadzony; starzy dostojnicy, po większej części składający jeszcze radę króla Mieszka, zasiedli na ławkach w półkole. Byli to owi dwunastu wojewodów, nieodstępni doradcy Bolesława; wśród nich wyróżniał się Sieciech Toporczyk, jeden z najzamożniejszych i najzasłużeńszych; bogaty tak, że mógł w lat kilka potem, dopomódz św. Brunonowi, gdy kapłan ten wybierał się apostołować w Prusiech.

Dalej zasiedli duńscy rycerze, posłowie króla Swenona, odziani w swój strój narodowy o orlich rysach, jeszcze ostrzej odbijających od łagodniejszych, okrągłych twarzy słowiańskich, najbardziej jednak wyróżniali się, w tem kole ową dumną nieugiętością, cechującą każdy ich ruch i spojrzenie. Znać było, iż należeli do owych śmiałych królów morza, którzy wraz ze Swenonem mieli wkrótce podbić Anglię.

W pośrodku koła siedział mąż w sile wieku, bo liczący zaledwie lat trzydzieści kilka, niezbyt wysoki, ale silnie zbudowany o obliczu wspaniałem i energicznym z którego biła odwaga i wielkość umysłu; uosabiał on dostojność i majestat prawdziwie królewski.

Był śniadej cery; krótka czarna, nieco kędzierzawa broda ocieniała twarz jego; z pod brwi, jak dwa skrzydła kruźce, patrzył wzrok sokoli, zdający się na wskroś wszystko przenikać; a była w tym wzroku taka potęga i tyle mocy niepokonanej, że nie było człowieka coby się nie uczuł małym wobec niego; po iskrach też które się zapalały niekiedy w tych oczach, można się było domyślać, jakie straszne błyskawice ciskały one w gniewie, albo wśród boju; jakie pioruny drzemały w tej ciszy.

Pan Mieczysław Celujący

KOMEDYJKA W 1-ym AKCIE

przez

Nasodę.

(Dokończenie).

SCENA VI.

Ciż SAMI BEZ KAROLKA.

MARYNIA (*do Miecicia*). Przyznaj się, że z ciebie nie-
szczególny kolega; zamiast przegrać ze trzy razy więcej swoją
sonatę, mógłbyś mu trochę pomódz w zadaniu.

MIECIO. A to dobre! ciekawym, co mnie jego zadanie
obchodzi? Czy ja go kiedy o co proszę, niech każdy sam
o sobie pamięta, to będzie najlepiej. (*wychodzi, mrużąc z nie-
zadowolaniem*).

TADZIO. Wiecie co, z tego Miecicia robi się okropny
samolub, jak to można tak w każdej chwili jedynie o sobie
myśleć.

HEL CIA. I jeszcze chwali się tem w najlepsze, wymy-
ślił sobie jakąś zasadę, że każdy dla siebie, i powtarza ją co
pięć minut, jakby coś najmądrzejszego.

MARYNIA. Mnie się zdaje, że on się chyba nie zasta-
nowił nad tem, jaka to szkaradna wada taki egoizm, przecież
dawniej nie miał tak złego serca, a teraz tylko o sobie myśli,
o sobie mówi, poza sobą świata nie widzi.

TADZIO. To od czasu, jak spędził kilka tygodni na wsi
z tym Jankiem Wirskim, tak się zmienił i popsuł. To tam-
ten miał zwyczaj wygłaszania takich mądrych zdań. Zdawało
mu się, że udaje filozofa i imponuje drugim.

MARYNIA. No, ale Miecicia trzebaby koniecznie prze-
konać, że to nie jest żadna filozofia, tylko dowód złego serca.

TADZIO. Wiecie, ja mam jedną myśl, chodzi tylko
o to, żeby ją sprytnie wprowadzić w wykonanie, a nasz Mie-
cio z pewnością się poprawi.

HEL CIA. Cóż to za myśl? mów prędko.

TADZIO. Trzeba, żebyśmy wszyscy przez jakiś czas
udawali jeszcze gorszych od niego samolubów; ręczę, że gdy
kilka razy doświadczy braku uczynności z naszej strony, gdy
usłyszy, jak to śmiesznie i wstrętne, gdy ktoś ciągle o sobie
tylko mówi i myśli, sam uzna swój błąd i będzie się starał
poprawić.

MARYNIA. Zapewne, mogłoby tak być, ale na sposo-
bność okazania naszej nieuczynności Mieciciowi, możemy długo
czekać, on rzeczywiście bardzo rzadko szuka cudzej pomocy.

TADZIO. Ale moja Maryniu, uwierzyłaś w to, bo on ci
to ciągle powtarza, w rzeczywistości on tak samo potrzebuje
co chwila jakiejś drobnej przysługi od drugich, jak drudzy
od niego, tylko, że my się tak nie drożymy, więc się o tem
zapomina.

HEL CIA. W każdym razie spróbujmy — otóż i on!

SCENA VII.

Ciż SAMI I MIECIO.

(*Miecicio idzie wprost do półki z książkami i zaczyna na niej
czegoś szukać*).

MIECIO. Czy nie widzieliście gdzie moich wypisów nie-
mieckich?

TADZIO. Owszem, widziałem, tylko nie pamiętam gdzie.
(*Marynia wstaje i zbliża się ku drzwiom*).

MIECIO. Maryniu, jeśli idziesz do jadalnego pokoju,
to popatrz czy tam na stole niema moich wypisów.

MARYNIA. Idę do jadalnego pokoju, ale nie mam cza-
su szukać twoich wypisów. (*wychodzi*).

MIECIO. A to grzeczna siostrzyczka! (*szuka w szufladzie*)
Ciekawym, gdzie się mogły zapodziać, czyby wypadkiem nie zo-
stały w szkole, bo jakoś sobie nie przypominam, czy wyjąłem
je z szuflady. (*do Tadzia*). Może zechcesz mi przynajmniej po-
wiedzieć, czy widziałeś je dzisiaj, czy wczoraj jeszcze.

TADZIO. Bardzo żałuję, ale nie potrafię ci tego powie-
dzieć; może to było dzisiaj, a może jeszcze przed miesiącem,
wiem tylko, że je widziałem (*śmieje się*).

MIECIO (*zniecierpliwiony*). Zamiast się śmiać, mógłbyś
się nad tem zastanowić i przypomnieć sobie.

TADZIO. Dla czego nie mam się śmiać? Twoje wypisy
wcale mnie nie obchodzą.

MIECIO (*gniewnie*). Ale mnie obchodzą, bo już jest go-
dzina szósta, a ja jeszcze nic nie umiem.

TADZIO. A cóż to mnie obchodzi? ja już umiem prawie
wszystko, a pan Mieczysław Celujący niech sam o sobie
myśli.

(*Miecicio spogląda na brata ze zdziwieniem*).

SCENA VIII.

Ciż SAMI, MARYNIA za nią JULISIA.

JULISIA. Pani się pyta, czy panicze prędko skończą
z lekcjami, żeby pójść do hotelu?

TADZIO i MIECIO (*razem*). Do jakiego hotelu? po co?

JULISIA. A bo przecież wujcio przyjechał z paniczem
Stasiem i pisał, żeby panicze przyszli na herbatę.

TADZIO (*podrzucając do góry książkę*). Wiwat! Staś
przyjechał! Zbierajmyż się prędeż. (*Julisiu wychodzi*).

MIECIO. Aha! zbierajmy się! kiedy ja mam jeszcze
tyle nauki! Ach, mój Boże, żebym był przeczuł, że wuj-
cio przyjedzie, nie byłbym grał na fortepianie, tylko przygo-
towywał się na jutro.

MARYNIA. Toś ty nic nie wiedział? Ja już od obiadu
wiem, że jesteście zaproszeni.

MIECIO. Jakto, wiesz? jakże mogłaś mi nic nie po-
wiedzieć?

MARYNIA. A cóż mnie to może obchodzić? ja przecież
i tak nie idę. Najlepiej, żeby każdy o sobie tylko pamiętał.

TADZIO. Bardzo słusznie. (*pociachu do Maryni*). Ty
naprawdę wiedziałaś?

MARYNIA (*cicho*). Ale gdzież tam, przecież list dopiero
co przyszedł, umyślnie tak powiedziałam.

MIECIO. Cóż ja zrobię, dopóki nie będę miał tych wy-
pisów, ruszyć się z domu nie mogę.

TADZIO. Jak ci się podoba; ja zaraz ubieram się i idę,
bo już skończyłem lekeye.

MIECIO. Jakto? i poszedłbyś sam, bezemnie?

TADZIO. Cóż dziwnego, mój kochany, przecież każdy
o sobie tylko myśleć powinien.

HEL CIA (*poważnie*). Niech nikt nie pokutuje za cudze
winy.

MIECIO (*zniecierpliwiony, prawie ze łzami*). Uwzięliście
się dziś, żeby mi dokuczać.

MARYNIA. Bynajmniej; przejęliśmy się tylko twojami
zasadami i znajdujemy, że są doskonałe.

TADZIO. Dziwię się sam sobie, że ich dawniej nie po-
dzielałem.

(*Miecicio siada na uboczu chmurny i opiera głowę na rękach*).

SCENA IX.

Ciż SAMI, KAROLEK.

KAROLEK (*ubiega szybko, jedną czapkę ma na głowie,
drugą trzyma w ręku*). Wyobraźcie sobie, co mi się stało,
wziąłem z przedpokoju czapkę Tadzia na głowę, a swoją ni-
słem w rękę i tak doszedłem aż do domu, dopiero na naszych
schodach spostrzegłem i wróciłem natychmiast, żeby
odać. (*Wszyscy prócz Miecicia śmieją się głośno*).

TADZIO. To nie tobie się stało, tylko mnie stać się mogło, bo właśnie mamy iść do wujcia na herbatę i nie byłbym miał w czem pójść.

KAROLEK. Idziecie do wujcia? ej, to będziecie się pysznie bawili! A dla czegoż pan Mieczysław Celujący siedzi taki zasepiony.

HEL CIA. Bo jemy brakuje jakiejś tam historii.

MIECIO. Wcaie nie historii, tylko niemieckich wypisów.

TADZIO. Które pewnie zostawił w szkole, przyznam się, że ja jeszcze jak żyję nie zostawiłem w klasie żadnej książki.

KAROLEK (*zbliżając się do Miecia*). Potrzebne ci do lekcji wypisy i dla tego taki jesteś zmartwiony?

MIECIO. Dla tego i... (*bliski płaczu*) i jeszcze oni wszyscy dokuczają mi dziś.

KAROLEK. Dokuczają ci? ależ to chyba na żarty, nie martw się, a jeśli ci wypisów postrzeba, to ja skoczę do domu i przyniosę ci moje.

MIECIO. Jaktó, ty?... ale, kiedy ty dopiero co, dwa razy chodziłeś już na takie zimno.

KAROLEK. No, to pójdę trzeci, wielka rzecz.

MIECIO (*zmięszany*). Mój Karolku, kiedy to naprawdę, kiedy ja... ja.. tobie nie oddałem nigdy żadnej przysługi.

KAROLEK. Ale cóż z tego! czyż ja zaraz wymagam, żebyś mi się wypłacał za taką drobnostkę?

MIECIO (*podrzucając czapkę Tadzia*). Ach, jaki ty poczciwy mój Karolku! tysiąc razy jesteś więcej wart odemnie.

KAROLEK (*śmiejąc się*). Ej, co też ty mówisz, przecież ty jesteś Mieczysław Celujący, a ja sobie zwyczajny, roztrzępany Karolek.

MIECIO. Ach, mój drogi, nie przypominaj mi już tego „celującego”, ja teraz widzę doskonale, że to wcaie nie wystarczy mieć celujące stopnie, jeżeli przytem ktoś jest nieuczynny i zarozumiały. Pomimo moich dobrych stopni, kiedy znalazłem się w kłopotcie, ty jeden ofiarowałeś mi się z pomocą, a wszyscy inni tylko śmieli się ze mnie i przedrwiwali. I mieli słusność, bo ja sam czuję, że na to mojem postępowaniem zasłużyłem.

MARYNIA. Nie, nie, Mieciu, my nie drwiliśmy z ciebie naprawdę, tylko chcieliśmy cię przekonać, jakby to źle było, gdyby na świecie każdy sam o sobie tylko pamiętał i siebie tylko za wzór stawiał.

TADZIO. Jesteśmy wszyscy gotowi pomóc ci w każdym kłopotcie, tylko ty nie usuwaj się także od oddawania drobnych przysług drugim, bo przecież ojciec powiada, że tylko na wzajemnych ustępstwach polegają wszystkie stosunki między ludźmi.

MIECIO. O, bądźcie spokojni, już nigdy nie będę takim nieuczynnym; poznałem, jak to przykro mieć do czynienia z samolubami, choćby oni tylko udawali. Od dziś już będę zupełnie innym.

HEL CIA. A zatem od dziś dopiero będziesz prawdziwie celującym!

KAROLEK. Brawo! a ja teraz biegnę po wypisy (*rzucając czapkę Tadziowi*). Trzymaj swoją czapkę, żebym ci jej znowu nie zabrał.

TADZIO(*wroczyście*). Panowie i panie! nadaję obecnemu tu Karolowi Milskiemu celujący stopień z roztrzępania i z dobrego serca.

WSZYSZY RAZEM. Brawo! niech żyje Karolek! będziemy zatem mieli aż dwóch celujących.

(*Wszyscy śmieją się — zasłona spada*).

ZE ŚWIATA.

Wezuwisz. — Polowanie na tygrysy

Wezuwisz przedstawia obecnie widowisko niezwykle. Oto południowa część ściany kraterowej runęła w otwór krateru i zatkała go prawie zupełnie. Ogień wulkaniczny rozżarzył zalegające krater odłamy skalne, które płoną wysokimi na metr płomieniami zielonemi i niebieskimi. Dym i lava z trudnością szukają sobie bokami ujścia przy nieustannym grzmocie podziemnym, w chwili zaś, gdy ujście sobie znajdą, z wnętrza wulkanu biją pod niebo 50 metrowe smugi świetlane, dopóki opadające kamienie na nowo nie zawałają krateru.

Inżynier angielski, Walter Brook, przebywający w Indjach przy budowie kolei żelaznej, uległ niedawno straszemu wypadkowi. Był on wielkim zwolennikiem polowania na tygrysy, a wyprawy jego myśliwskie kończyły się zwykle pomyslnie; w końcu jednak padł ofiarą swego upodobania. Posiadał on już liczny zbiór przez siebie upolowanych wspaniałych i rzadkich okazów tygrysów. Wybierał się właśnie z powrotem do Anglii, gdy mu doniesiono, iż w okolicy widziano straszego tygrysa, nie namyślając się długo spieszy więc tam z dwoma jeszcze towarzyszami; wkrótce też odkryto legowisko zwierza, był to rzeczywiście wspaniały w swoim rodzaju okaz. Inżynier pierwszym strzałem ugodził tygrysa, lecz ten ciężko tylko ranny powłókł się w zarośla. Inżynier pomimo znacznego oddalenia od swoich towarzyszy, postępował za zwierzem, który wkrótce runął na ziemię bez ruchu; dla bezpieczeństwa przed zbliżeniem się, inżynier rzucił nań kamieniem. W tejsze chwili tygrys porwał się z ziemi i rzucił na myśliwego zanim ten zdolał broń pochwycić i nim na krzyk jego towarzysze nadbiegli, tygrys strasznie pokaleczył i poszarpał swoją ofiarę, odpędzony powłókł się dalej w zarośla, gdzie go drugiego dnia znaleziono nieżywego. Inżynier, pomimo pomocy lekarskiej, zmarł w kilkanaście godzin.

Marya Matuszewska

PRZEŁOŻONA 6 KLASOWEJ PENSYI ŻEŃSKIEJ W WARSZAWIE
przy ulicy Leszno Nr. 28.

Przyjmuje uczennice przechodzące i pensyonarki na warunkach przystępnych.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Widok z Tatr (rycina) — Pogadanki naukowe przez Wł. Umińskiego. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — Obłężenie Częstochowy przez Szwedów (z ryc.) — Obrońcy bogów przez M. Łopuszańską. — Pan Mieczysław Celujący, komedijka w 1-m akcie. — Ze świata. — Dodatek: Nie sądź z pozoru, wiersz przez M. D. (z ryc.) — Wojna o Kubę. — Królowa i paproci, bajka czarodziejska przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka dolistów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE



NIE SĄDŹ Z POZORU.

Ach spojrzaj tylko Zosiu cóż to tam za dziwy,
Aż wierzyć mi się nie chce, że to ptak prawdziwy...
Sukienka jego złotem wspaniale się mieni,
A długi ogon błyszczy barwami kamieni...
Gdybyż nam chciał zaśpiewać, bo w takim odzieniu,
Wszystkie ptaki przewyższa pewnie w swoim pieniu!

Tak wołał Władzio, pawia spotkawszy w ogrodzie
Gdzie przechadzał się pyszny przy słońca zachodzie;
Aż nagle krzyk szkaradny razi chłopca uszy.
Krzyk, co miły śpiew ptasząt nieprzyjemnie głuszy...
Więc poznał Władzio zaraz, że ten często błądzi
Kto jedynie z pozoru drugiego osądzi.

M. D.

Wojna o Kubeę.

— Nie wiesz co Bomba dostał z łaciny?
— Czwórę, a Mydłek trzy, Śledź trzy, Ryba dwa,
jeden tylko Kurta będzie miał pięć.
— To Ryba obcięty?

— Ej nie, ale musi kuć całe wakacje, żeby poprawić stopień.
— Ja tam książki nie ruszę, będę pomagał ojcu w gospodarstwie.

— Szczęśliwyś Gomółka, że jedziesz na wieś, na letniem mieszkaniu daleko nudniej, niema ani żniwa, ani koni wierzchowych. Raz tylko byłem na wsi u wuja i żebyś wiedział jak zwoziłem snopki, ty pewnie tak podawać i zwozić nie potrafisz.

Wieuś Molski, którego w klasie zwano Śledziem, trafił w najdrażliwszą stronę kolegi. Jaś Kowalski czyli Gomółka, miał się za najsilniejszego i najzręczniejszego wśród towarzyszy.

— Nie potrafie! — zawołał oburzony. — Przyjdz i zobacz jak szmyrgam snopkami, karbowy rachując krzyczy „dwa dwadzieścia”, a ja już „trzy dwadzieścia” po nim poprawiam.

— Nie naciągasz Gomuła?

— Słowo, że nie, zresztą przyjedź i zobacz, cóż tam będziesz na letniem mieszkaniu robił?

— Będę się kąpał, ryby wędką łapał, na stacyę po gazety chodził.

— To na letnim mieszkaniu miewacie gazety?

— Dobry mi, a cóżes ty myślał? Ja w przeszłym roku nigdy gazet nie czytałem, ale druga klasa wcale co innego, niż pryma, tam same malcy. Teraz skoro wiem, że dostałem promorę, zawsze czytałem już telegramy.

— Nie zwracaj, mój Śledziu, czytasz, bo tam piszą o wojnie, to i ja czytam.

— A jak myślisz, kto kogo pobije?

— U nas w realnym, różnie bywa. Bo trzeba ci wiedzieć, że są dwie partye, jedna za Amerykanami, druga za Hiszpanami, i okrutnie, mówię ci, kłócą się na pauzie.

— Toś ty może Hiszpan?

— Bo co? pewnie, że jestem Hiszpan i nasi górą.

— A wcale nie, w ostatniej gazecie było o zwycięstwie Amerykanów.

— No to w gazecie, ale w klasie jest inaczej. Hiszpanie wykropili skórę tamtym, bo też między Amerykanami najmniej było wstępniaków.

— I ty naprawdę trzymasz z Hiszpanami? — zapytał Śledź.

Gomułka stał zakłopotany, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Ja bo nie wiem komu życzyć, za kim słusność.

Śledź uśmiechnął się wzgardliwie.

— A wiesz przynajmniej co o Kubie? — zapytał po chwili.

— Nie wiedziałbym o Kubie. Kuba służy u nas za fornała przy gniadych koniach.

Tu już Śledź rozśmiał się głośno. Właśnie nadbiegło kilku kolegów.

— Słyszycie, panowie, Gomułka nie wie co to Kuba.

Biedny Gomułka, nie miał dziś szczęścia, trzej uczniowie a zwłaszcza Kurta, byli zaciętymi Amerykanami i chciwie chwyтали wiadomości z pola bitwy. Wytłomaczono więc Gomółce, że Kuba jest wyspą na oceanie Atlantyckim w gromadzie wysp Antylskich. Kurta i Bomba czytali jej opis w „Wieczorach Rodziny.”

— Dajmy pamiątkę Gomóle, żeby pamiętał Kubę — zaproponował Śledź.

Co się potem stało, nie powiem. Wiadome jest przysłowie, że „choćby cię smażono w smole” i t. d.

Działo się to wprawdzie to na podwórzu, nie w szkole, sekretu jednak nie wydam. Powiem tylko, że Gomółka na wsi niechętnie patrzył na Kubę, widać imię fornała smutne miało dla niego wspomnienia.

Z. B.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez Wacława Sulimę.

(Dalszy ciąg)

— Nie Halinko, to nie twoja wina, że użyto względem ciebie podstęp, ty zasłużyłaś na jeden tylko zarzut. Wszakże znałaś mnie dobrze, nieraz ci mówiłam, że zawziętość jest nieszlachetną; czemu na pierwsze słowo uwierzyłaś, że jestem fałszywą i mściwą; jaki miałaś dowód, że ona mówi prawdę? A czy wiesz, że właśnie to jest źródłem mnóstwa nieszczęść na świecie, iż ludzie tak odrazu i tak zupełnie wierzą jeśli o kim co złego posłyszą, nikt nie bwa tak łatwowierny kiedy jest mowa o jakim świetnym czynie, albo o szlachetnym postępku jak wobec oszczerstwa, z którego wypływają kłótnie, niezgody w rodzinie i poróżnienia między znajomymi. Niejednych przyjaciół tym sposobem powaśniono, bo mało kto zadaje sobie pracę sprawdzić, o ile zarzut jest słuszny i najczęściej wierzy się na słowo, albo najmniejszy pozór uważa się za niezbity dowód, z czego powstają tysiączne nieporozumienia. Przyniecz mi Halinko, że nigdy, drugi raz tego błędu nie popelnisz, a nie będę żałowała, że się moim kosztem z takiej wady wyleczyłaś.

Halinka, wzruszona dobrocią i szlachetnością królowej, ucałowała jej ręce i obiecała nie być już nigdy łatwowierną, ale sama nie zadowolniła się tem, bo pragnęła gorąco wynagrodzić krzywdę, choć mimowolnie wyrządzoną.

— Czy niema żadnego sposobu naprawić tego co się stało? — spytała.

Królowa westchnęła.

— Byłoby to bardzo trudnem — rzekła — nie wiem wcale gdzie są poziomki, zbiegłyby się wprawdzie na głos sarenki, ale ta jest uwięzioną i ukrytą. Przytem wątpię, abyśmy zdołały pokonać Pokrzywy, które w znacznie większej ilości przybyły. Niema już co o tem myśleć, zmieniły się nasze stanowiska, ty jesteś teraz królową, a ja nieznaną dziewczeczką, która ci jednak serdecznie wieszczę i szczerze się cieszy ze szczęścia, jakie cię spotkało.

— Racz być tutaj jak u siebie, przedstawię cię dziś królowi i jestem pewną, że ci będzie bardzo rad.

Królowa nie chciała, aby wiadziiano o jej godności, została więc przedstawioną jako przyjaciółka Halinki. Dziewczynka otoczyła ją największą troskliwością, starając się usilnie dostarczyć jej wszelkich wygod i przyjemności.

Paprotka była jak zawsze uprzejmą i pogodną, dziękowała serdecznie za wszystko, ale Halince spokoju nie dawała świadomość wyrządzonej krzywdy. Spozrzęta,

że Paprotka pobladła i zeszczuplała, zgadywała, że cierpi, tylko w sobie to tai. A król bardzo ją polubił, całe otoczenie równie było pod urokiem tej leśnej królowej, która choć przebrana nie straciła wdzięku i królewskiego ułożenia.

Był w państwie grzybków stary jeden biały mech, mędrzec tak sędziwy, że go najstarsze grzybki siwym tylko znaly. Biała jego broda spadała aż do ziemi; miał płaszczyk z piasku, z którego prawie nigdy nie wychodził i w którym przyjmował wszystkich, którzy po naukę, radę lub przestrożę przychodzili do niego. Znany zaś był z tego, że wszystkim mówił prawdę w oczy i był nieposzlakowanej prawości.

— Pójdę do białego mchu — pomyślała raz Halinka — może mi poradzi, jak mam postąpić z Paprotką.

Lekkim powozikiem zaprzęgniętym w dwa zające z jedną tylko towarzyszką, królowa grzybków udała się do piaskowego pałacu. Mędrzec siedział zatopiony w swoich myślach, kiedy weszła. Powitał ją przecieź życzliwie, i z uszanowaniem zapytał czego żąda.

Dziewczynka odprawiwszy skinieniem służbę i usiadłszy na niskim krzeselku, opowiedziała starcowi całą swoją historję.

— Poradz mi co mam uczynić, jak wynagrodzić krzywdę, którą jej mimowolnie wyrządziłam?

Starzec odpowiedział poważnie:

— Jeśli się kogoś skrzywdzi, choćby mimowolnie, należy to wynagrodzić, nie wahając się poświęcić siebie.

Czyś zdolną do ofiary?

— Tak.

— Dobrze, każda łza wyciśnięta drugim jest, jeżeli nie plamą, to ciężarem. Twoja wina, choć nie twoja chęć i wola. A teraz powiedz mi, dobrze ci tutaj?

— O jak dobrze! tak jestem szczęśliwą, wszyscy mnie kochają, opływam w dostatki. Gdyby nie los Paprotki niczego bym więcej nie pragnęła.

— Domyślałem się tego. A teraz słuchaj, gdybyś zniknęła, więc coby się stało? Oto król uznałby Paprotkę za swoją spadkobierczynię, wiesz, jak się jemu i wszystkim podobała. Jej wówczas byłoby tak dobrze jak tobie teraz, a nawet lepiej, bo odzyskałaby to, w czem wzrosła i do czego przyzwyczajona.

— A ja?

— Tybyś wróciła do Leśniczówki i zostałabyś tam, czem byłaś pierwej. Widzisz jak się można prędko do dobrego przyzwyczaić; już ci się dziś smutnem wydaje życie w chatce, osądź z tego, jak jest trudno odzwyczaić się temu, kto od dziecka żył w pałacu.

Po twarzy Halinki spłynęły duże łzy. Gdybyż tylko nie to wzgarliwe i przykre obejście, gdyby nie ciągte przykrości! Tak jej dobrze było tutaj, a w Leśniczówce tak smutno.

— Póki zostawać będziesz tutaj — mówił starzec, Paprotka może być tylko drugą po tobie. Czuję się ona wygnanką na twojej łasce i ukrywa swoją godność. Jeśli się usuniesz, będzie znowu królową i wkrótce pozyska miłość i uwielbienie powszechne. Postępek twój będzie szlachetny, a świadomość, żeś się umiała poświęcić i krzywdę wyrządzoną naprawiła, powinna ci stać za nagrodę.

— O! szepnęła Halinka, jeśli takim kosztem naprawić trzeba krzywdę mimowolną, to cóżby było, gdybym ją skrzywdziła rozmyślnie i z wyrachowaniem?

— W takim razie ciężko i długo musiałabyś pokutować. Nie dosyć byłoby wynagrodzić krzywdę, trzeba by jeszcze żalem i pokutą zmyć plamę, którąby ta wina na twojem sumieniu pozostawiła. Lepszy łachman żebraka, niż płaszcz królewski cudzą krzywdą pozyskany; gorsze, niż bieda i choroba, wyrzut sumienia; to trucizna, której jedna kropla największą czarę słodocy, goryczą zaprawi. Teraz możesz być szlachetną, wówczas byłabyś tylko uczciwą, ustępując jej miejsca.

— Pójdę — szepnęła Halinka i pochylili się do ręki starca.

Do pałacu wróciła zamyślona. Piękny gmach tak uroczo wyglądał wśród zieleni drzew, pyszne zielone mchy odbijały się w jeziorkach, potoki spadały z szumem, a gdzieś tam, widniały różnokolorowe kapelusze grzybków, przyjaźnie ją witających.

Pomiędzy krzewami jałowcu Halinka ujrzała Leśną Paprotkę.

W skromnej sukience zajęta była jakąś robotą, siedziała cicho na uboczu, trochę bledsza, niż zwykle.

Widok ten wzruszył Halinkę.

Ona nie zrobiła mi żadnej wymówki, pomyślała, ale czyż dla tego właśnie nie powinnam się tem mocniej poczuwać do winy. O ileż jest szlachetniejszą ode mnie. Usunę się dziś i to w tajemnicy, bo ona nigdy by ofiary takiej nie przyjęła.

Powziąwszy mocne postanowienie, dziewczynka doznała zaraz zadowolenia, jakiego doznają ci, którzy wypełniają przykry i trudny obowiązek.

Podczas dnia uprzejmiejszą była niż zwykle, a wstając od uczyt uściskała serdecznie Paprotkę i ręce królewskie, uważając to już za pożegnanie.

Wieczorem miała być zabawa na rzece, przy świetle pochodni.

Halinka odprawiwszy swoje panny służebne, przywdziała ubranie, jakie miała, gdy ją w lesie znaleziono, przykryła się bogatym płaszczykiem, a na głowę włożyła wielki kapelusz, jaki tu był modny.

— Żegnam, cię miła komnatko — szepnęła — dobrze mi tu było, ale cię już opuszczę.

Wzrok jej przebiegając bogate sprząty i śliczne gracki, których była właścicielką zatrzymał się na małym sztyleciku w bogatej oprawie. Był to podarunek króla. Dając jej ten sztylecik, w dzień ogłoszenia jej spadkobierczynią, rzekł: ostrze jest srebrne, rękojeść złota, ale to jeszcze najmniejszy z jego przymiotów, gdyż to czarodziejski sztylecik.

— Wezmę go na pamiątkę — pomyślała — i schowała go starannie.

Noc była ciemna, pieniała się i szumiała rzeka. Na środek jej wypłynęła wielka tratwa oświetlona pięćdziesięcioma pochodniami, które rzucały czerwone, migotliwe światło na wodę i las daleko rozjaśniały.

Pod wspaniałym baldachimem siedział król, mnóstwo służby i dworzan otaczało go, łódki płynęły za tratwą.

ZAGADKA.

Ułożył Aleksander W.

Jedną tylko nogę dała mu przyroda,
A choć bardzo różną jest jego uroda
Zawsze w cieniu stoi, nigdy się nie rusza
I nigdy nie zdejmuje swego kapelusza.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

uł. Puszczyk z Pilawy.

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożone powinny nazwisko i imię, nieżyjącej autorki powieści dla młodzieży. A—bar—ba—bra—ce—con—dix—ir—ka—ka—ka—ma—o—o—pal—ra—ra—sin—skud—zou—wis. Znaczenie wyrazów: 1) Św. patronka górników. 2) Drogi kamień. 3) Ognie sztuczne. 4) Miasto w Hiszpanii założone przez Fenicyan. 5) Dopływ Warty. 6) Stan w Ameryce pół. 7) Włoska moneta. 8) Miasto nad Nilem. 8) Rzeka w Ameryce.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

ułożył X. Y. Z.

W kwadracie o czterech przedziałkach rozłożyć liczby 10, 40, 50, 100 w ten sposób, aby nie powtarzając liczby tej samej w jednym rzędzie w każdym kierunku wypadła liczba 200.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 25.

Szarady: Nie — men.

Rebusiku:

Co zanadto to nie zdrowo.

Skrzynka do listów.

Robaczek świętojański nie podaje w liście swego adresu, bez którego oczywiście wysyłka brakujących numerów jest niemożliwą. Prosimy zatem pomyłkę tę naprawić. Numeru 11-go z przeszłego roku zabrakło już w redakcyi. Pewni jesteśmy, że Jaskółka za swym powrotem mile powita nowego korespondenta, któremu przesyłamy pozdrowienia.

List wraz z pieniędzmi od Korala morskiego redakcyja odebrała; żądane numera wysyłamy. Zapewniamy, że wobec szczerzej przyjaźni jaką mamy dla młodzieży, listy masznych czytelników nigdy nas zdudzić nie mogą. Niechże więc Koral pisuje zawsze śmiało, ilekroć ma do tego ochotę.

Z przyjemnością dowiadujemy się od Aleksandra W., iż wizyty jego w kraju u rodziny i znajomych tak mu się w zupełności udały, i że widok dawniej znanych osób i miejsc tak wielce był mu miłym, lecz pojmujemy też, że z tęsknotą wyczekuje już chwili połączenia się z rodzicami. Nadesłane łamigłówniki przejrzymy, spodziewając się znowu wkrótce otrzymać nowy liścik.

Topolce wysłano już życzoną książkę. Jakże to dobrze, że ukochany braciszek wraca na wakacje, by dzielić rozrywki swego

rodzeństwa. Cieszy nas też, że Topolka lubi zając się ogródkiem. Praca taka przynosi wielorakie korzyści, gdyż obok zabawy dobrze wpływa na zdrowie i uczy nas lepiej oceniać trudy i pracę drugich. Życzymy więc aby kochana Topolka w zamilowaniu tem nie ustawała.

Małej literatce zasylamy pozdrowienia i witamy w niej nową i miłą nam korespondentkę.

Bodaj, że nie mylimy się przyznając Mary Lud. zalety pilnej i starannej uczennicy. Gdy więc tak dobre były stopnie w dzienniczku, wypoczynek tem słuszniej się należy, czego też szczerze życzymy.

Wszystko byłoby dobrze w naukach, gdyby nie roztrzepanie, przyznaje się szczerze w liściku swym Mania O., a ta szczerść, jak rozbraja bezwątpeństwa nauczycielkę, tak i nam daje pewność, że niezadługo Manieczka będzie umiała zbytnią swą żywość, trzymać na wodzy w godzinach nauki.

Polnej Róży. Do udziału w konkursach zachęcamy, bo wierz nam Różyczko, że tylko początek jest trudny, a nie idzie tu jedynie o otrzymanie nagrody, lecz przyznana pochwała, dla stojących wiekiem już poza konkursem, również wielkie zadowolenie dać powinna. Jeszcze jedna życziwa rada: oto niech Różyczka stara się pisać zawsze większemi literkami, tak drobne bowiem pismo, choćby było najstaranniejsze, nigdy nie będzie piękne ani czytelne.

Jakże ładnie być musi w ogródku, który nam opisuje Gwiazdka, jak wesolo niezawodnie zabawiasz się ona wraz ze swem rodzeństwem. Przysłanym zabawkom biedne dzieci ucieszą się pewno, w ich też imieniu dziękujemy Gwiazdce.

Bardzo nam przykro, iż jedynie przez zaszłą pomyłkę przyczyniliśmy tyle zmartwienia Lolowi R., nie wysyłając obu książeczek razem; mamy wszakże nadzieję, że obecnie Lolo już nagrodę swoją otrzymał i pocieszył się w zupełności.

Łączymy serdeczne pozdrowienia dla Chróścika, jako dla dobrego braciszka.

Długi list Kurki z Polesia odczytaliśmy z prawdziwą przyjemnością, tem większą, że barwny opis Zofijówki obudził nasze wspomnienia o tej znanej przed laty, a rzeczywiście wyjątkowo pięknej miejscowości. Jakże podróż podobna po kraju kształci i rozwija, jak wyrabia smak estetyczny! Słusznie też oddawna zaliczono ją nie tylko do przemijających i chwilowych przyjemności, lecz do warunków ogólnego wykształcenia. Łamigłówniki przeżyjemy, rozwiązania dobre.

Otrzymaliśmy również łamigłówniki i szarady od Smoka, Ułana, Orła karpackiego, Anulki i Zosi; dobre zaś rozwiązania nadesłali: Władzio K., Józio Z., Nina. Ułan i Wierzb.

Bodaj, że Wiatraczek stosowny wybrał sobie pseudonym; ruchliwość jego bowiem, aż nadto jest widną w obu liścikach, któremi nas obdarzył. Gdy jednak i prawdziwe wiatraczki pozostają czasem w spokoju, jeśli tego okaże się potrzeba, z przyjemnością widzielibyśmy, że również nasz miły korespondent umie zdobyć się na taki czyn heroiczny. Więc przyszły list jego, o który bardzo prosimy, mamy nadzieję, będzie już o wiele staranniej napisany, tem więcej, że obecnie pozostało mu dużo czasu wolnego. Wesolą pozdrawiamy i prosimy o obiecany liścik.

Stokrotce z Sobolówki. W Warszawie stosujemy się we wszystkim do kalendarza nowego stylu. Przedpłatę kwartalną należy uiścić przed 1-ym lipca, o czem redakcyja przypomniawszy w stosownej chwili swym czytelnikom. Przy większej wprawie odgadywanie łamigłówników, mniej niezawodnie trudności przedstawiać ci będzie, a niektóre nieznanne ci dotąd miejscowości, za podaniem wskazówek łatwo w geografii odszukasz, co niezawodnie nie pozostanie bez korzyści.

